Piotr Chmielowski

"Towarzystwo warszawskie przyjaciół nauk 1800-1832. Monografia historyczna osnuta na źródłach archiwalnych", T. I-IV, Aleksander Kraushar, Kraków-Warszawa 1900-1902 : [recenzja]

Pamiętnik Literacki : czasopismo kwartalne poświęcone historii i krytyce literatury polskiej 2/1/4, 313-319

1903

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

MUZEUM HISTORII POLSKI

Z kwiatków stylistycznych oceny estetycznej p. Hecka wymienię tylko jeden. II. 236 czytamy: »poeta obrządku ślubnego nie przedstawia — może nie czuje się zdolnym do narysowania szczegółów materyalnych(?!) tego aktu«; szkoda, że p. H. bliżej nie określił tych materyalnych szczegółów aktu małżeństwa! Na tym przykładzie poprzestaję, kilkadziesiąt podobnych miejsc przytoczył Z. Dembitzer poprzednio w swej recenzyi książki p. H. (Muzeum 1902. 694—6).

Autor lubuje się też w wyrazach obcych, jakby tych samych myśli nie mógł oddać równie dobrze język polski, używa więc często takich słów, jak »pepinier« II. 39, »gros« (II. 187), »great attraction« (II. 161), co więcej, nawet wyrazy polskie nieraz tłumaczy na język obcy, jakby czytelnik lepiej miał myśl autora zrozumieć, przeczytawszy ten sam wyraz w języku obcym, por. n. p. I. 146, $_1$. Repotia (Trinkgelage nach der Mahlzeit!), na stopie wojennej znaczy po niemiecku: auf gespanntem Fusse. (II. 123, $_2$). Pełno też w książce germanizmów, zwrotów błędnych, powtarzania jednych i tych samych wyrażeń: o stylu autora może czytelnik nabrać dostatecznego wyobrażenia z przytoczonych powyżej wyjątków.

Wrażenie, jakie sprawia książka p. H., jest ujemne: z wymienionych powyżej powodów nie jest książka jego ani zebraniem umiejętnem dotychczas znanego materyału — bo w całym szeregu poszczególnych kwestyi nie można poprzestać na wiadomościach podanych przez autora — ani też nie jest ostatnim wyrazem nauki. Do tego wszystkiego autor rozprowadzając najdrobniejsze szczegóły do niebywałych rozmiarów, przedstawił czytelnikowi rzecz nie mającą należytej perspektywy, brak zaś ścisłej metody naukowej u autora całego szeregu rozpraw trudny jest do wytłumaczenia. Ostateczny sąd o książce p. H. musi niestety wypaść tem surowiej, że, jak autor sam wspomina, jest ona wynikiem dłuższych studyów (I. 3); widocznie więc nie leżało już w mocy autora stworzyć rzeczy dobrej, jeżeli mimo tych przydłuższych studyów ostateczny rezultat jest nikły.

Wiktor Hahn.

Kraushar Aleksander, Towarzystwo warszawskie przyjaciół nauk 1800—1832. Monografia historyczna osnuta na źródłach archiwalnych. Kraków, Warszawa, 1900—1902, trzy księgi w 4 tomach, z licznemi illustracyami, str. 407+318+438+408.

Dosyć długo w wieku XIX. krążyły w piśmiennictwie naszem bardzo bardzo niepochlebne opinie o działalności warszawskiego Tow. Przyj. Nauk, wywnioskowane głównie ze słynnej przemowy Mickiewicza do krytyków i recenzentów warszawskich. Od dawna już atoli badania ściślejsze sprostowały te mniemania i przyznały temu zgromadzeniu, nazywającemu się nie akademią bynajmniej, lecz tylko »przyjaciółmi« nauk, iż nie mając do rozporządzenia ani talentów wielkich, ani wielkich za-

sobów pieniężnych, robiło, co było w jego mocy i dobrze się zasłużyło względem oświaty narodowej.

Wiedzieliśmy o tem na podstawie 21 tomów »Roczników« Towarzystwa, nie tyle co prawda roztrząsanych, ile przeglądanych tylko, oraz na podstawie wspomnień F. S. Dmochowskiego, pamiętników i rozprawy Fr. Skarbka. Brakowało szczegółów o stosunkach zewnętrznych i rozwoju wewnętrznym Towarzystwa, brakowało wiadomości dokładnych o sposobie prowadzenia dyskusyi na posiedzeniach, o pobudkach i inicyatywie w rozmaitych sprawach, podejmowanych i częścią uskutecznianych zbiorowemi siłami i t. p.

Obecnie szczegóły te poznajemy obficie. P. Aleksander Kraushar, który już z niejednego dokumentu otrząsł pył stuleci, miał możność dokładnego zaznajomienia się z aktami pozostałymi po Towarzystwie i skopiowania ich, wskutek pozwolenia, jakie otrzymał od jenerał-gubernatora warszawskiego, księcia Imeretyńskiego. Te dokumenty składają się przeważnie, jak mówi p. K. »z szeregu porządnie i systematycznie prowadzonych protokołów sesyi wydziałowych i centralnych z całego okresu istnienia Towarzystwa, z raportów składanych przez tak zwane jego działy literackie i naukowe, z projektów podnoszonych przez członków, z korespondencyi prowadzonej z członkami miejscowymi, zamiejscowymi i Towarzystwami naukowemi zagranicznemi, ze zbioru tematów konkursowysh, wreszcie z materyałów historycznych, bądź źródłowych, bądź też już opracowanych, między którymi n. p. mieści się rozprawa o języku polskim, o planie historyi krajowej, o dawnych napisach i pomnikach, wreszcie dziennik zajęć działu filozoficznego i matematyczno-przyrodniczego« (I. 3).

Zdaniem p. K. najciekawszymi wśród tych dokumentów są protokoły posiedzeń, prowadzone kolejno przez F. Ks. Dmochowskiego, Józefa Kalasantego Szaniawskiego, Ludwika Osińskiego i Edwarda Czarneckiego. Protokoły te są »obrazem akademickiej pogody umysłów członków, zajętych wyłącznie sprawami nauki i literatury«, gdyż »ważniejsze przewroty dziejowe, w ciągu całego trzydziestolecia bytu Towarzystwa, zaznaczają się tu zaledwie gdzieniegdzie napotykanemi niezapisanemi kartami, lub też nieliczną frekwencyą członków« (I. 6).

Jakże autor skorzystał z tych materyałów dla napisania dzieła swego. Na karcie tytułowej umieścił wprawdzie wielce obiecujące wyrażenie: »monografia historyczna«, lecz w przedmowie do I. tomu zaznaczył skromnie, że wziął na siebie rolę »nie historyka, lecz kronikarza Towarzystwa, w tem przeświadczeniu, że odtworzenie całkowitej działalności instytucyi, według osnowy protokołów jego posiedzeń, stanowić będzie z czasem nader pożyteczny materyał dla przyszłych historyków umysłowości polskiej z początków bieżącego stulecia« (str. 12). Szkoda, że na tem wyznaniu nie poprzestał, i w przedmowie do tomu drugiego, sięgnął po zaszczyt wyższy w słowach orzekających, że księga jego, »będąc kroniką, po kronikarsku traktowaną być nie mogła, że systematyzacyą przedmiotu i uwidocznieniem stopniowej ewolucyi w pracach Towarzystwa, w możliwych granicach, do zadania monografii historycznej zbliżyć się usiłuje« (str. 3). Tym sposobem autor

podniósł wymagania, którym zadość uczynić nie zdołał. O ile wnosić należy ze słów jego, tę cechę wyróżniającą »monografię historyczną« od »kroniki« w tem upatrzył, iż starał się mieć na względzie przy każdej sposobności »nietylko tło ogólnych wypadków owoczesnych, lecz i teren(!), na którym się one rozwijały«. Zdaje mi się, że p. K. dość powierzchowną upatrzył różnicę między dwoma rodzajami pracy historycznej; tło ogólne wypadków i »teren« t. j. po prostu kraj, czy miasto, w którym się coś dzieje, uwzględnia zarówno kronika jak monografia; a różnicy między niemi szukać trzeba w stopniu wyczerpania źródeł wiadomości, w stopniu krytycyzmu dziejowego i w kompozycyi. Otóż p. K. w trzech tych punktach pozostał raczej na stanowisku kronikarza, niż monografisty historycznego. Bo najprzód nie wciągnął (z góry zresztą o tem uprzedzając) do swego działu zasobu naukowo-literackiego, jaki posiadamy w 21 tomach »Roczników« Towarzystwa; powtóre nadzwyczaj rzadko (a niekiedy nieszczęśliwie) wdawał się w krytykę zarówno źródeł jak i prac Towarzystwa; a potrzecie, jeżeli w I. tomie widać było niejaką dążność do grupowania, do organicznego układu, to właśnie od II. poczynając, wcale się nie zajmował »systematyzacyą przedmiotu«, chyba że tą nazwą chciał ochrzcić czysto mechaniczne trzymanie się chronologii posiedzeń Towarzystwa. Układ książki i sposób jej obrobienia jest zupełnie kronikarski, i to nawet nieraz w ujemnem znaczeniu tego wyrazu. To zaś, co p. K. wysunął na plan pierwszy i z czego, jak się zdaje, szuka chluby »monografa historycznego«, t. j. uwzględnianie ogólnego tła i »terenu«, wykonane zostało jak najniefortunniej. Tam, gdzie się przedstawił, jako skromny kronikarz, t. j. w pierwszym tomie, w opowiadaniu o czasach pruskich, daleko lepiej umiał powiązać tło ogólne z czynnościami Towarzystwa, bo tam chodziło istotnie o ochronę języka narodowego w naukach, o uświadomienie potrzeby stawiania tam zalewowi germanizacyjnemu; gdy zaś autor przeszedł do czasów Księstwa Warszawskiego i Królestwa Kongresowego, gdzie już o zagładzie języka i narodowości nie mogło być mowy, jego wstępy, kreślące owo »ogólne tło wypadków« i »teren« stały się luźnie przylepionemi wiadomostkami z dziejów, bez żadnej najczęściej łączności z działaniem Towarzystwa. Wiadomostki takie, zupełnie zresztą elementarne, lub czysto zewnętrzne, dekoracyjne, mogłyby mieć jakieś znaczenie w książce popularnej, lecz nie w dziele, które z konieczności treści swojej może być tylko w rękach badaczów i to nawet dość specyalnych. Sposób zaś, w jaki je na czele rozdziałów poumieszczał autor, rytmicznie się powtarzając, sprawia wrażenie kropel powolnie a monotonnie spadających nam na czoło. Zaiste, jak łatwo było tych wstępików nie pisać! bez najmniejszej szkody dla głównej osnowy dzieła...

Ale nie nastawajmy na szczegóły, zawarte w przedmowie do II. tomu i trzymajmy się określenia, danego w I., że mamy przed sobą kronikę Towarzystwa osnutą na źródłach archiwalnych, i zapytajmy, czy wiele nam przynosi ważnych materyałów. Oczywiście odpowiedź na takie pytanie może być różna, stosownie do poglądu na samą »ważność«. P. K. n. p. widocznie poczytywał Uwagi ks. Wyszomirskiego nad po-

prawą języka polskiego za ważny materyał, kiedy wydrukował go na 10 stronicach garmontem. Ja przeciwnie podzielałbym zdanie członków Towarzystwa, które nie wydrukowało tej ramoty, ale złożyło ją do archiwum, gdzie jej było właściwe miejsce. Jeżeli zaś chodziło koniecznie o wskazanie, że zawsze i wszędzie istnieją dziwacy, którym się zdaje, że można wykazać wyrzucenie dźwięków cz, sz, szcz z języka dla uczynienia go powabniejszym, to wystarczyłaby chyba na to 3-wierszowa wzmianka. A podobną »wartość« i »ważność« mają w znacznej części »anneksa« wydrukowane skwapliwie przez autora, choć w niczem się nie przyczyniają czy to do wzbogacenia, czy to do sprostowania naszej wiedzy o działalności Towarzystwa, o poglądach i stanie nauki u nas na początku w. XIX. Ośmieliłbym się tutaj twiedzić, że nawet przytaczając ogromne wyciągi z mów ludzi skądinąd bardzo zasłużonych, p. K. kierował się raczej jakąś dziwną predylekcyą do i frazesów i ogólników, nic a nic naprawdę nie mówiących, bo po raz dziesiąty i dwudziesty powtarzających toż samo w kółko, — niż względami na istotną działalność tych przemów. Przypuszczam, że sam autor nie przepisywał wszystkich tych zagajeń, lecz kazał je skopiować; bo gdyby sam to robił, mocnobym go podziwiał, iż przy odpisywaniu bodaj piątego z kolei przemówienia, nie rzucił pióra daleko od siebie. Zdaje mi się, że należę do cierpliwych czytelników, ale gdy mi przyszło odczytywać te przemówienia, z których ani myślowo, ani stylistycznie nic zgoła nowego się nie dowiadywałem, to musiałem przyzwać na pomoc ideę obowiązku krytycznego, ażeby dobrnąć do końca. Jeszcze w pierwszym tomie przemowy Albertrandego mogły zaciekawiać wykrętasami stylowymi, ale gdy następnie p. K. nie pominął ani jednego zagajenia Staszica, lecz je podawał prawie zawsze w całości, ze wszystkimi ogólnikami, jakie w swoim czasie i na swojem miejscu były stosowne, ale w niczem do pomnożenia wiedzy historycznej się nie przyczyniają, to znosić przyszło katusze. Dodajmy wkońcu, że te wszystkie przemowy są już od dawna drukowane. P. K. zdawało się, że w tych przemowach »odbija się jasny obraz czynności stopniowego rozwoju Towarzystwa« i nie chciał odsyłać czytelnika do »Roczników« lub do pism Staszica, by nie uronić tych dokumentów »pierwszorzędnej doniosłości«.

I na tem jeszcze nie koniec. Bardzo trafną w nauczaniu jest zasada: repetitio est mater studiorum, ale w dziele zastósowana staje się wrogiem jego poczytności. P. K. po wielekroć razy powtarza tę samą wiadomość, raz biorąc ją z protokołów działowych, drugi raz ze sprawozdań ogólniejszych (centralnych), trzeci z rocznych zagajeń i t. d. Czasem powtarzanki te krótsze i dłuższe przedzielone są od siebie pewną ilością kartek, czasami następują niemal bezpośrednio z kartki na kartkę. Przykładów mógłbym przytoczyć mnóstwo, ale nie chcę próżno zabierać miejsca; lecz nie mogę się powstrzymać od uwagi, iż takie zaniedbanie w układzie książki razi nawet wówczas, gdy się ją uważa za kronikę.

P. K. nie jest dostatecznie obeznany ze stanem badań naukowych i literackich, ażeby w sądzie o »ważności« dokumentu czy zagadnienia zawsze trafne miał zdanie. Zarzut to ciężki, winienem go usprawiedliwić.

W tomie II. części I. str. 258 czytamy: »Ks. Bystrzycki złożył raport o nadesłanych rozprawach de vera distantia solis. Zmieniły się widocznie poglądy Towarzystwa na badania o kwadraturze koła, jeśli mimo ogłoszonego ongi w gazetach oświadczenia przyjęto rozprawę i tej treści do oceny«. Co to jest? Nie mogę na chwilę przypuścić, iżby autor, mecenas i historyk, nie rozumiał należycie łaciny; więc muszę podejrzywać, że w naukach przyrodniczo matematycznych mniej jest biegły, kiedy kwestyę »kwadratury koła« stawia na równi (jako niedorzeczność) z zagadnieniem o istotnej odległości słońca od ziemi! Wobec takiego faktu. trudno jakąbądź przywiązywać wagę do zdań, zresztą rzadko się pojawiających, o wartości prac Towarzystwa z zakresu matematycznego i przyrodoznawczego.

W tomie II. części drugiej str. 236—256 podaje sprawozdanie J. K. Szaniawskiego o rozprawie Jasnogórskiego p. t »Wieki uczone w Polszcze« oraz odpowiedź Jasnogórskiego na te uwagi. Mniejsza już o to, że oba te rękopismy mogły były bezpiecznie pozostać w archiwum bez wywlekania ich na światło druku; idzie tu obecnie o co innego. Między rozmaitemi niedorzecznościami mieści się i taka prawdziwie senzacyjna wiadomość: »Godna tu rzecz wspomnieć, iż w trzemeszyńskiej zakonnej bibliotece ma być wiele oryentalnych rękopisów, w toruńskiej — listy Cycerona, na tablicach woskiem powleczonych pisane, które za autograf jego uchodzą (str. 246). P. K. nie zaznaczył ani wykrzyknikiem, ani pytajnikiem ani sic'em tego cudacznego ustępu, jakby wierzył naiwnie tej baśni. Że zaś na seryo traktował tę rozprawę Jasnogórskiego, złożył dowód, dołączając na czele objaśnienie, iż ona stanowi »pierwszy zarys historyi literatury polskiej«, co także jest błędem, boć już przedtem były zarysy i Krasickiego i Szumskiego.

W tomie II. cz. I. str. 116 Albertrandi, a zatem osobistość, z którym jako z pierwszym prezesem Towarzystwa p. Kr. powinien się był dokładnie zapoznać, drukuje pierwsze swe prace w »Zabawach przyjemnych i pożytecznych«, chociaż już wtedy był autorem paru książek. Tamże, str. 146 wezwanym zostaje Jan Śniadecki do Wilna przed r. 1796, chociaż wiadomo wszystkim, że stało się to dopiero w 10 lat potem. Ale to można poczytać za przeoczenie; bo n. p. co do Albertrandego sam autor w innem miejscu prawdziwsze podaje wiadomości. Lecz wymówki takiej nie można odnieść do następnej notatki o Lelewelu. P. Kr. opowiada o posiedzeniu Towarzystwa z 20. grudnia 1819 roku (księga III., 342—343). Jak wiadomo, Lelewel przed kilkoma miesiącami wrócił wtedy do Warszawy z Wilna, po trzyletnim tamże pobycie w charakterze docenta historyi. P. K. nie zważając na te daty, pisze najspokojniej w świecie »Lelewel już niezadługo miał opuścić stanowisko profesora nadzwyczajnego w uniwersytecie warszawskim(!!) i bibliotekarza i przenieść się na dłuższy pobyt do Wilna, gdzie właśnie rozpisywano konkurs na objęcie katedry historyi. Referat przeto młodego badacza był pożegnalnym(!!), gdyż dopiero po trzech latach powrócił Lelewel do Warszawy«... Kto takie popełnia błędy, nie jest chyba dostatecznie przygotowany do pisania kroniki Tow. Przyj. Nauk.

Taki sam brak przygotowania wykazuje z innej strony pomieszczenie obszernej oceny rozprawy Fr. Wężyka o poezyi dramatycznej (t. II., cz. 2, str. 303—312). Widocznie p. K. nie wie, że ta ocena była drukowana niezbyt znowuż dawno, żeby ją potrzeba było przedrukowywać; egzemplarzy »Archiwum do dziejów oświaty« nie brak przecież.

Przykro mi bardzo, że takie szczegóły uwydatnić muszę. P. K. od lat 40 pracuje w literaturze, jako poeta i historyk; wiele nieznanych materyałów wydobył, wiele poświęcił na ich obrobienie; zasług w tym względzie nikt mu odmówić nie może. Lecz prawdę, chociaż przykrą, powiedzieć potrzeba, choćby jako przestrogę dla innych. P. K. uległ bezkrytycznie suggestyi ogłaszania wszystkiego, co znajdzie w bibliotekach i archiwach, nie zastanawiając się dokładniej nad pytaniem, czy warto drukować rzeczy bylejakie, dlatego tylko, że je kurz gruby okrywał. Wiele, bardzo wiele pisało się i pisze i bez znaczenia naukowego i bez talentu. A gdyby tak komuś przyszło na myśl wydostać kosze redakcyjne i drukować wszystko, co się w nich znajdzie? Zapewne, znalazłoby się może niejedną ciekawostkę, interesującą, dajmy na to pod względem psychologicznym lub społecznym, niekiedy odkryłoby się dowód niesprawiedliwości lub nieumiejętności redaktora; lecz częściej chyba wypadłoby potwierdzić wyrok przezeń wydany, iż się artykuł kwalifikował do kosza.

W książce p. K. dużo się takich artykułów zarówno w tekscie jak szczególniej w anneksach napotyka. Takich ważnych szczegółów, któreby mogły wpłynąć na zmianę dość ustalonego obecnie poglądu na działalność Tow. Przyj. Nauk trudno mi było się doszukać; wszystkie owszem, nawet drobiazgi, przyczyniają się raczej do utwierdzenia w tym poglądzie. Ciekawych wiadomostek czy to n p. o kandydaturze W. Bogusławskiego, J. Lelewela, czy o Abrahamie Sternie, czy o uczęszczaniu na posiedzenia, czy o funduszach, i t. p. znajdziemy tu dużo. Ja osobiście zainteresowałem się wielce sposobem, w jaki Tow. w początkach swego rozwoju traktowało krytykę (t. I., str. 309, 310; t. II., cz. I., str. 46); kto inny zajmie się inną stroną działalności Towarzystwa i wdzięczny będzie autorowi za informacye; tylko powinien się zawczasu postarać o bardzo dokładny skorowidz nazwisk i rzeczy, gdyż bez niego korzystanie z książki będzie niezmiernie mozolne i czas stracony na szukanie nie opłaci się odniesionym pożytkiem. Książka bowiem p. K. już teraz (a cóż dopiero po ukończeniu!) jest ogromnym magazynem najrozmaitszych wiadomostek, magazynem, podzielonym tylko na przegródki chronologiczne. Spisy rzeczowe, chociaż obszerne, niewyczerpują oczywiście całego zasobu, zamkniętego w tym śpichlerzu.

P. Kraushar obficie zaopatrzył swą księgę w ilustracye. Niewątpliwie mogą one nieco rozerwać znużony kronikarską opowieścią umysł czytelnika. Ale czy wszystkie były potrzebne. Rozumiem portrety członków, rozumiem rysunki gmachów, w których Tow. odbywało swe posiedzenia, rozumiem ilustracye ważnych chwil dziejowych, w których brało ono udział; ale z jakiego słusznego powodu w kronice Tow. Przyj. Nauk znalazły się wizerunki aktorów i aktorek teatru warszawskiego? Jaki związek upatrzyć można między zadaniem Tow. a przedstawienia-

mi scenicznemi? To, że jeden z członków, Ludwik Osiński był tłumaczem utworów dramatycznych a później dyrektorem teatru, lub też, że ten lub ów pisał dramaty, to chyba przez naciąganie tylko można uważać za uprawnienie do ilustrowania dziejów Tow. Przyj. Nauk widokami odpowiednimi w dziejach sceny.

Dla wytłumaczenia się z umieszczonych w tomie I. widoków Warszawy użył p. K. aż argumentu »nastrojowego«, powiadając: »Nie zachodzi oczywiście bezpośredni związek miedzy zewnętrzną, dekoracyjną stroną Warszawy pruskiej, a przedmiotem niniejszej monografii. Badawcze wszakże oko rozważnego czytelnika nie bez poważniejszej refleksyi rozpatrywać będzie widoki owej ogładzonej, z cudzoziemska przystrojonej Warszawy, wśród której zrodziła się akcya ratunkowa, podjęta przez Tow. Przyj. Nauk. Tak mało już dziś pozostało śladów po dawnej stolicy Rzptej..., że wybaczyć można rozmiłowanemu w owych pamiątkach... szperaczowi, jeśli z każdej korzysta sposobności, by zachować dla przyszłych pokoleń choćby obrazkowe ich resztki« (I. 12, 13) Możnaby na to odpowiedzieć, że wszystko jest dobre, gdy się na swojem miejscu znajduje .

Pod względem zewnętrznym księga p. Kr. przedstawia się świetnie; szkoda, że korekta nie odpowiada staranności o wygląd.

Piotr Chmielowski.

Potocki Antoni, Marya Konopnicka. Szkic literacki. Lwów, 1902.
Galle Henryk, Twórczość poetycka M. Konopnickiej w ciągu 25-u lat. Warszawa, 1902.

Wśród młodszego czy najmłodszego pokolenia krytyki naszej p. Potocki należy z pewnością do najwybitniejszych jej przedstawicieli. Śmiałe rzuty myśli, wysoko rozwinięty zmysł estetyczny, bezpośrednie »czucie« z epoką, (właściwość, której często braknie, niestety, krytyce naszej), wrażliwość estetyczna, przechodząca z zakresu biernych odczuwań do sfer twórczych (przypomnę tu tylko prześliczną »Bertę«), piękna, ba, więcej, świetna forma (znowu przypomnę znakomity szkic o »Ludziach bezdomnych«) — wszystko to oddawna już zwróciło nań uwagę baczniejszych czytelników. Właściwości powyższe (którym nie brak zresztą i odwrotnej strony), ujawniły się w pełni również w książeczce, o której mówić zamierzamy. Bo są i odwrotne strony.

Poczucie swej siły i oryginalności wkłada niejako na autora obowiązek dorównywania sobie, a ciągła pamięć o tym wywołuje pewien odruch szczególny, jakby świadome postanowienie być oryginalnym za jakąkolwiek cenę, zaskoczyć czytelnika najniespodziewańszym zwrotem lub twierdzeniem, byle tylko nie pozostać na wspólnym z kimś innym poziomie. Nowa, jaśniejsza prawda nie narzuca się mu żywiołowo; on ją przemocą zdobywa, gdyż z góry założył sobie, że ją posiędzie. Tak się nam przedstawia Achillesowa pięta tego niewątpliwego